

Benjamin Rosenbaum*

Przyjmujący Nowe

Słońce prażyło, wóz skrzypiał i trząsał. Vru przykucnął blisko baldachimu swego pana. Futro ociekało mu potem. Jego Ghennungi pełzały pośród włosów w poszukiwaniu cienia. Za każdym razem, gdy jeden z nich odrywał się od skóry, Vru czuł nagłą utratę wspomnień, jakby wyrwano mu kończynę.

Nie po raz pierwszy Vru zmuszony był roztrząsać swoje ubóstwo. Miał zaledwie pięć Ghennungów. Trzy były z nim od urodzenia, jednego nosił wcześniej jego ojciec, a najstarszego także dziadek. Raz jeden, gdy obydwie starsze Ghennungi oderwały od niego kły, by przemieścić się po jego brzuchu, na chwilę zniknęło sześćdziesiąt lat wspomnień – pracy z kamieniem, uprawiania miłości z babką i matką, zmartwień o terminowanie i pojedynków. Doświadczył wtedy dziwnego, przyprawiającego o zawrót głowy uczucia, że zna zaledwie dwadzieścia lat życia swojego własnego ciała.

— Plugawy dzień — rzekł Khancriterquee. Wiekowy rzeźbiarz bogów, spoczywający bezładnie na stercie futer pod baldachimem, przywołał go gestem pazura. — Plugawe słońce. Chłopcze! w karmazynowej flaszce jest chłodzący olejek. Rozsmaruj mi go trochę, ale uważaj, żeby ani odrobiny nie rozlać.

Vru odnalazł olejek i rozsmarował go po przedwiecznej skórze swojego pana. Khancriterquee był rozdęty, a pośród futra prześwitywały mu wyłysiałe placki. Śmierdział jak gnijące w słońcu martwe bestie. Chwytne ręce Vru wzdragały się przed dotykaniem. Pan umierał, a kiedy umrze, wraz z nim zniknie pewność Vru co do swojego miejsca na ziemi.

* Benjamin Rosenbaum — amerykański autor opowiadań *science fiction* i *fantasy*. Jego teksty były nominowane do Hugo, Nebuli (za *Przyjmującego Nowe*), Theodore Sturgeon Award, World Fantasy Award i BSFA Award. Z wykształcenia jest informatykiem, projektował oprogramowanie dla amerykańskiego rządu. Jest jednym z założycieli Digital Addiction (firmy, która stworzyła grę online *Sanctum*). Obecnie mieszka w Waszyngtonie.

Na skórzanych rzemykach wokół szyi Khancriterquee i Vru nosili Rozkosznie Piękną – pulchną, gładką i roześmianą – boginię z dwudziestoma siedmioma Ghennungami tańczącymi na jej ciele, wyrzeźbioną w twardym, szarym kamieniu. To Khancriterquee wykonał obie kopie. Jakie to dziwne, że bogini piękna zdecydowała dać się stworzyć tak brzydkiemu i napuchniętemu cielsku!

Khancriterquee otworzył przekrwione oczy.

— Nie jesteś rzeźbiarzem bogów — zachrypiał.

Vru trwał nieruchomo. Co zrobił źle? Pan był próżny – czyżby dostrzegł jego obrzydzenie? Czy Khancriterquee odeśle go w hańbie z powrotem do domu jego ojca, do zaganiań świniowców, gdzie nigdy się nie ożeni, a kiedy jego ciało stanie się już niedołączne, będzie musiał poszukać jakiegoś siostrzeńca, który z litości przyjmie kilka jego wspomnień?

— Czy wiesz, dlaczego zagarnęliśmy te tereny? — zapytał pan. Odsuwając kotarę, wskazał na jałowe, czerwone granie, widoczne wokół nich za burtą wozu.

— Pokonaliśmy Bezbożnych w bitwie, ponieważ sprzyjają nam bogowie, mój panie — wyrecytował Vru.

Khancriterquee parsknął.

— To nie tak, że bogowie nam sprzyjają. To my sprzyjamy im.

Vru nie zrozumiał. Pochylił się zatem, by rozmasować ciało pana. Khancriterquee odepchnął jego chwytną rękę pazurem i usiadł, dysząc. Wpatrywał się we Vru ze wstrętem.

Vru uświadomił sobie, że stuka o siebie pazurami, więc zmusił się, by przestać. Pan go obserwował – zapamiętując każde wzdrygnięcie Vru w Ghennungach, które niebawem nosić będą czeladnicy.

Vru wyprostował się.

— Panie, jest coś, czego nigdy nie zrozumiałem.

Oczy Khancriterquee'ego rozbłysły zainteresowaniem, czy może podejrzliwością.

— Jak Bezbożni mogą naprawdę być bezbożni?

Pan zasępił się.

— Mam na myśli... Jak ktoś bez żadnego boga może nie popaść w szaleństwo, przyjmując nowe Ghennungi? — Vru pamiętał dzień, w którym przyjął Rozkosznie Piękną jako swoją boginię, cel swojego życia i oddania. Kiedy medycy delikatnie oddzielali Ghennungi

od stygnących zwłok ojca w wielkiej sali poniżej, on chciał kurczowo trzymać się dzieciństwa, poczekać z wyborem boga. Kapłan udzielił mu jednak surowego pouczenia – ponieważ bez boga osoba jest jedynie zmiennym zbiorem wspomnień. Lojalność, pragnienia i przekonania poszczególnych jego Ghennungów walczyłyby ze sobą, a on sam miotałby się niczym łódka podczas stuletniego sztormu.

— Och, mój uczeń jest ambitny — wyszeptał Khancriterquee. — Pan jest stary i słaby. Może to uczeń powinien uczestniczyć w moim imieniu w wysokiej radzie wojennej. Może powinien poznać tajemnice naszej wojny przeciwko Bezbożnym...

— Panie, nie miałem na myśli...

— Bezbożni nie wymieniają się Ghennungami — rzekł Khancriterquee.

— Co?

— Może robią to, gdy są bardzo młodzi — stwierdził Khancriterquee, machając chwytnymi rękami — albo wymieniają się konkretnymi umiejętnościami, bez innych wspomnień, używając do tego Ghennungów okaleczonych w jakiś sposób. Nie jesteśmy pewni. Ale zwykle, kiedy umierają — zamilkł, obserwując reakcję Vru — ich Ghennungi zostają zniszczone. Właśnie dlatego wygrywamy bitwy. Ich najlepszy żołnierz jest zaledwie tak stary jak jego ciało.

Vru nagle poczuł, że robi mu się niedobrze. Gorzkie, piekące płyny z jego żołądka przelały mu się do gardła. Bezbożni celowo mordowali się, gdy umierały ich ciała!

— a teraz powiem ci, dlaczego nie jesteś rzeźbiarzem bogów, jeśli mój ambitny uczeń ma czas posłuchać — oznajmił Khancriterquee. Postukał pazurem w Rozkosznie Piękną na szyi Vru. — Rzeźbienie kopii, by ludzie nie zapomnieli swoich bogów i zachowali zdrowe zmysły, nic nie znaczy. Czas, byś wyrzeźbił nowego boga, tak jak ja wyrzeźbiłem Nieustraszenie Sprawiedliwego, a mój dziad Rozkosznie Piękną. — Na powrót opadł na futra i zamknął oczy. — Monument zostanie odsłonięty na Festiwalu Hrsh. Użyj tego nowego, zielonego kamienia.

Vru w milczeniu obserwował, jak jego pan śpi. Słyszał bicie własnego serca.

Żaden z czeladników Khancriterquee'ego nie otrzymał pozwolenia na stworzenie boga, nawet Turmca. Czemu miałby pozwolić na to uczniowi? By zawstydzić i zakpić z czeladników — by ukarać ich za niecierpliwe wyczekiwanie na jego śmierć? Czy też pan uznał, że Vru ma tak wielki talent?

Odarci pracowali w nowych kopalniach, wycinając ze ściany klifu zielony kamień. Futro ogolono im z powodu gorąca. Wielu z nich miało zakrwawione, uszkodzone na kamieniu pazury. Vru próbował odwrócić wzrok. Rzadko widywał tak wielu Odartych naraz. Ich ciała były umięśnione, silne... i pozbawione Ghennungów. To było potworne, a jednak coś w tych pustych przestrzeniach skóry przemawiało do niego, niczym połać nienaruszonego śniegu.

Zielony kamień błyszczał w otoczeniu szarej skały. Khancriterquee cały dzień wrzeszczał na zarządców. Po co używać tych zidiociałych Odartych? Rozumieli wystarczająco wiele, by byli przydatni w starszych kopalniach, przy zwykłym, szarym kamieniu. Ale ten cudowny, nowy, zielony kamień, w którym będzie można wyrzeźbić tak wiele szczegółów — kamień idealny dla bogów, wyrwany Bezbożnym — był trudny do wydobycia, a oni nie byli w stanie się tego nauczyć. Jak dotąd zniszczyli każdy większy kawałek.

— Są bezużyteczni! Bezużyteczni! — krzyczał na zarządcę Khancriterquee. — Dlaczego nie sprowadzisz prawdziwych ludzi?

— To wydobywanie kamienia — odpowiedział uparcie zarządca. — Prawdziwi ludzie tego nie zrobią, o świętobliwy.

— Vru! Bezużyteczny chłopcze! Ty też stoisz jak jakiś Odarty! — w oczach pana pobłyskiwała nienawiść. — Przyrowadź mi tamtego — rzekł, wskazując na wielkiego Odartego, ryjącego monotonicznie w pobliskim kamieniu, każdym uderzeniem pazurów rozłupującego na dwoje drogocenne kawałki kruszcu.

Vru przyprowadził go do pana. Odarty był uległy – wystarczyło tylko dotknąć pazurami jego dziwnej, gołej skóry. Idąc, nieco dyszał. Pazury miał poszarpane i wyglądał na głodnego. Vru pragnął objąć jego mocne ciało chwytnymi rękami, wyszeptać mu do ucha uspokajające słowa – i próbował ignorować te szalone, głupie myśli.

— Pochyl tu jego głowę — zachrypiał Khancriterquee.

Vru popchnął Odartego w dół, by ten uklęknął obok jego pana. Czy pan miał zamiar coś mu wyszeptać? Jak to miało pomóc?

Zarządca stał niedaleko, ze złości przestępując z nogi na nogę, a Khancriterquee przesunął swymi wiekowymi pazurami po miękkim meszku na szyi Odartego. Ten w odpowiedzi spojrział z powagą i strachem. Khancriterquee zacisnął pazury, z wysiłkiem i stękaniem przebijając nimi skórę. Odarty szarpnął się, zadrżał i wydał z siebie przejmujący krzyk. Zarządca z przekleństwem rzucił się do przodu. a potem rozległ się trzask

i głowa Odartego stoczyła się z ciała, ono zaś osunęło się na ziemię. Na Khancriterquee'ego trysnęła krew.

— Oszalałeś? — wrzasnął zarządca, zapominając się. Chwilę później na jego oblicze wypłynęła zgroza, a on sam padł na ziemię, zanurzając twarz w pyłe. — Uświęcony, błagam... — zajęczał.

Pan zachichotał, zapewne zadowolony, że jego stare pazury nadal potrafią nieść śmierć. Zastukał nimi o siebie. Krew była czarna.

— Sprowadź do pracy w tej kopalni prawdziwych ludzi — rzekł z niezadowoleniem. — Te obrzydlistwa do niczego się nie nadają.

Vru zwymiotował w pył.

— Na twój monument potrzebujesz kamienia w całości! — oznajmił pan. — Głupi chłopak. a teraz mnie oczyścić.

Zielony kamień stanowił cud. Pewnego spokojnego, błękitnego dnia miesiąc później, pośród kłębow mgły pełznących przy ziemi i ulatujących w niebo, Vru stanął w wyrobisku do rzeźbienia w siedlisku Khancriterquee'ego, naprzeciw monolitu z kopalni. Rzeźbienie w nim było niczym sen o potędze. Kamień śpiewał mu pod pazurami oraz młotem i pilnikiem w jego chwytnych rękach.

Przez ostatnie tygodnie Vru wracał do sali sypialnej jedynie na wieczorny posiłek i sen. Ta praca bardzo różniła się od wykonywania kopii bogów. Khancriterquee miał rację – dotąd Vru nie był rzeźbiarzem bogów, a jedynie kopistą. Teraz pod jego pazurami nabierał kształtu nowy bóg.

Gdy Vru na niego spojrział, poczuł się, jakby posiadał tysiąc Ghennungów o wspomnieniach tak starych jak Ghennungi Wyroczeni. On sam, dziewiąty syn biednego budowniczego zamków, nigdy nie odważyłby się wykonać czegoś tak szokująco prawdziwego. Był pewien, że to jakieś bóstwo działa poprzez niego, choć nie była to Rozkosznie Piękna, ale nowy bóg, którego znał tylko on, który korzystał z jego pazurów, by pomóc sobie narodzić się z zielonego kamienia.

Vru zdecydował, że bóg ten nosi miano Przyjmującego Nowe. Był to cudowny i straszny posąg. Przedstawiał osobę pozbawioną Ghennungów jak jeden z Odartych albo

wygnany przestępca, pochylając się, by delikatnie i z czułością dotknąć pazurem Ghennunga na ziemi. Vru wiedział, że w kolejnej chwili osoba uniesie Ghennunga swymi chwytnymi rękoma i przycisnie go do piersi. Następnie Ghennung zatopi kły, odnajdując żyły i nerwy. Słodka masa wspomnień odcisnie się na świadomości osoby: pierwsze myśli, nowa tożsamość.

Vru spojrział w dół na swe chwytne ręce. Drżały. Nie czuł się zmęczony. Chciał śpiewać. Nie odpoczywał jednak od dwudziestu dziewięciu godzin. Nie mógł pozwolić sobie na pomyłkę.

Zakrył boga płachtą i ruszył ścieżką do sali sypialnej. Kiedy wychodził z wyrobiska do rzeźbienia, uścisk boga zelżał, a w jego kończyny wlało się zmęczenie. Ledwie miał siłę unieść pazury.

Cień przemknął przed nim, kiedy przechodził przez pusty, wiosenny pawilon. Zatrzymał się. W ciemności słyszał nierówny oddech.

— Kto tam jest? — zapytał.

Czeladnik Turmca wyszedł na światło dzienne.

Vru rozluźnił się.

— Przestraszyłeś mnie, Turmca! — oznajmił. Już wymawiając te słowa zauważył, że Turmca nie nosił na szyi Rozkosznie Pięknej, tylko Nieustraszenie Sprawiedliwego, boga-żołnierza. — Dlaczego...?

Czeladnik zrobił niepewny krok w jego stronę. Jego oczy były dziwnie puste. Może był pijany?

— Jak leci, Vru? — zapytał. — Jak tam twoja praca? — Zaklekotał o siebie pazurami i wzdrygnął się, jakby zaskoczony swoim własnym gestem.

— Dobrze się czujesz, Turmca? — zapytał Vru, robiąc krok w tył.

— Miło, że pytasz — odrzekł Turmca, ruszając chwiejnie do przodu. Vru cofał się przez placyk pawilonu. Turmca był od niego mniejszy, ale za to dobrze odżywiony, o mięśniach ukształtowanych latami rzeźbienia bogów.

— Chciałbym cię o coś zapytać — odezwał się Vru. — Turmca, kiedy pan.... odejdziesz, czy rozważyłbyś przyjęcie mnie? Byłbym wdzięczny, gdybyś...

Turmca wybuchnął głośnym, histerycznym śmiechem. Pochylił się i uniósł pazury do oczu, a jego ciałem wstrząsnęły drgawki. Potem spojrział na Vru.

— Wszystkie trafią do ciebie — powiedział.

Vru zamrugął.

— Khancriterquee powiedział tak Panu Singerowi. Podśluchałem ich. Będziesz nosił wszystkie jego Ghennungi. Nie chce, by jego wspomnienia osłabły przez rozdzielenie ich pomiędzy czeladników, a przynajmniej, wedle jego słów, nie tego chce Rozkosznie Piękna.

— Turmca, to szaleństwo. Nie mam talentu....

Turmca rozwarł pazury. Świeżo wyczyszczone i naostrzone, błysnęły wyraźnie.

— Talentu! Ty głupcze! Nie wybrał cię dla twojego talentu! Wybrał cię z powodu twoich ledwie pięciu Ghennungów i słabej, uległej natury. Chce dalej trwać jako on sam! Twoje wspomnienia nie sprawią mu żadnych trudności!

Turmca wysunął do tyłu prawą stopę, chwytne ręce uniósł, by osłonić Ghennungi na swojej piersi. Vru widział już taką postawę, gdy jego brat, Viruarg, ćwiczył musztrę. Była to postawa żołnierza.

— Turmca....

Vru rzucił się w tył, kiedy Turmca zaatakował, ale zrobił to za wolno – czubki pazurów rozdarły mu bok. Vru nie brał udziału w walce od czasu, gdy był dzieckiem, kiedy grał w thakkę na piaszczystym poletku. Pochylił się nisko i zaszarżował do przodu, uważając na pazury wroga i próbując uderzyć go całym ciałem. Turmca zrobił jednak unik, a jego chwytne ręce wystrzeliły, by sięgnąć uszu przeciwnika. Pod Vru ugięły się nogi i padł na ziemię zalany bólem.

Turmca nie walczył jak amator. Musiał pożyczyć albo wynająć Ghennungi od żołnierza. Nie był też pijany. Jego szklisty wzrok należał do kogoś, kto nie połączył w jedno swych Ghennungów i toczył wojnę w głębi duszy. Dla jego pragnienia zabicia Vru wystarczyło i tyle zjednoczenia.

— Wstawaj, Vru — zawarczał Turmca głosem żołnierza, głosem wyznawcy Nieustraszenie Sprawiedliwego, który chciał zabić z honorem. a potem odezwał się łagodniej, jak czeladnik instruujący młodego ucznia: — Zrobię to szybko.

Vru czuł, jak w jego mięśniach śpiewa wszechogarniające wyczerpanie. Wiedział, że jeśli zawoła o pomoc, Turmca zabije go i oddali się, zanim jakakolwiek nadejdzie. Słyszał ostrożne kroki, gdy ten, szurając, zbliżał się do miejsca, gdzie Vru leżał na piasku. Bogini, pomóż mi, modlił się.

Ale to nie Rozkosznie Piękna mu pomogła. To musiał być ten nowy bóg, który pragnął zostać wyrzeźbiony – Przyjmujący Nowe. Bowiem zrobił coś, czego Vru nie zrobiłby

nigdy. Przyjmujący Nowe uniósł ciało Vru i zaatakował, a jego pazury wystrzeliły i przecięły rzemyk, na którym Turmca nosił na szyi Nieustraszenie Sprawiedliwego. Turmca, w tym momencie bezbożny, wrzasnął. Vru złapał spadającego boga i cisnął nim w ciemność pawilonu. Turmca sięgnął pazurami w stronę Vru, ale jego ciało odwróciło się i rzucało za swoim bogiem. Vru pobiegł do siedliska pana.

Po tygodniu postu Vru powrócił prosto na Festiwal Hrsh. Był słaby, ale czuł się oczyszczony i gotowy wykonać swe zadanie. Kiedy Przyjmujący Nowe zostanie odsłonięty, Vru wreszcie przyniesie zaszczyt swojej rodzinie.

Siedział na scenie obok Khancriterquee'ego. Przed nimi stał zakryty płachtą monument. Vru tęsknił za widokiem Przyjmującego Nowe, ale musiał poczekać na ujawnienie boga. Nagle zaczął zastanawiać się, co ujrzą pozostali. Odartego albo przestępcę jako boga, sięgającego po zakazanego Ghennunga? Gdyby ten bóg nie wyrzeźbił się jego własnymi rękami, sam byłby zbulwersowany. Zadrżał. a co, jeśli nie zobaczą w tym boskiej ręki? Co, jeśli wyrzeźbił herezję? Próbował skupić się na Rozkosznie Pięknej, by pozwolić jej kształtować się niczym garncarz formujący glinę na kole garncarskim, ale jego głowa pełna była obrazów. Silni i piękni Odarci, pracujący przy zielonym kamieniu. Okrwawiona głowa tocząca się w kopalnianym pyłu. Bezbożni i ich dziwne, złe zwyczaje. Wyobraził sobie, jak Odarty z jego posągu sięga, by ich powitać. Siedział tak sztywno, z głową pełną dziwnych myśli, aż nadszedł czas.

Wzywał go kapłan. Vru zerwał się na nogi i chwiejnie przeszedł przez scenę. Zgromadzony wokół tłum pochylił się do przodu. Kilkoro ludzi uciszyło dzieci, potem wszystko zamarło. Sięgnął i szarpnął płótno na Przyjmującym Nowe, a z tłumy wyrwał się krzyk.

Ale to nie był Przyjmujący Nowe.

Kształt pozostał podobny. Był to ten sam zielony kamień, w którym z taką miłością rzeźbił, ale na skórze posągu wyrzeźbiono wyraźne wybrzuszenia Ghennungów. Siedemnaście, jak numer nowego boga. Sięgający pazur już nie muskał upadłego Ghennunga. Zamiast tego płonął i miażdżył malutkiego żołnierza Bezbożnych.

W kamieniu widać było odważne, gładkie ciosy ręki pana.

Ludzie bili brawo. Vru odwrócił się, by spojrzeć na Khancriterquee'ego.

Szczęki pana rozciągały się w pełnym satysfakcji uśmiechu zadowolenia. Dodałem to, o czym zapomniałeś, mówiły jego oczy. To nie było złe dzieło, ale przekaz był niewłaściwy. Naprawiłem to.

A jakie to ma znaczenie, powiedział Khancriterquee w wyobraźni Vru. Jakie to ma znaczenie? Patrzył na Vru, zadowolony z siebie. Okazałeś się mnie warty. Już niedługo to ciało upadnie, a ty poniesiesz moje Ghennungi. Wszystkie moje wspomnienia, całą moją potęgę. Staniemy się jednym. a wtedy będziemy rzeźbić tak, jak Rozkosznie Piękna poprowadzi naszą dłoń.

Z miejsca w którym stał, Vru prawie wyczuwał odór rozkładu, jaki wydzielala skóra Khancriterquee'ego. Pan umierał, lecz pan nie umrze. Nawet niewiele się zmieni. Vru wiedział, że jego pięć słabych Ghennungów nie mogło równać się z szesnastoma, którymi dysponował Khancriterquee. Jego własne wspomnienia były niczym niewyraźne szepty na tle ryku. Któreś z nich zostaną pewnie wyłuskane, jako że dwadzieścia jeden to za dużo nawet dla tak młodego ciała. Może coś pozostanie — może jego pracowitość, może uwielbienie dla kamiennych powierzchni; ale kiedy pomyśli o tym, jak Khancriterquee urzywał głowę Odartemu w kopalniach, będzie to szesnaście głośnych i zadowolonych głosów przeciwko może trzem cichym i przerażonym.

Powinien być szczęśliwy. Jego boginią była Rozkosznie Piękna. Dlaczego nie cieszył się, że największy rzeźbiarz bogów będzie tworzył majestat, pracując za pomocą jego rąk, jego pazurów? Jakie to miało znaczenie, że jego wspomnienia się rozwieją? Pamiętał widok siebie jako gaworzącego dziecka w chwytnych ramionach Matki. Dziewiąty, niechciany syn. Pamiętał głaskanie Matki po czole, gdy ta trzymała niemowlę.

— Nie otrzyma dziedzictwa — powiedziała.

— Coś dla niego znajdziemy — odpowiedział. — Może kapłaństwo. Będzie miał jednego z moich Ghennungów.

— Dwa — odrzekła Matka.

Spojrzał gniewnie na płaczące, mizerne dziecko. Dwa? — pomyślał. — Ten cheralak?

Vru przetrwał oklaski i wrócił się, by ponownie usiąść obok Khancritequee'ego. Odór był nie do zniesienia.

Wolę zostać Bezbożnym, uświadomił sobie Vru. Wolę umrzeć raz na zawsze, niż stać się Khancriterquee'em.

— Niech wszyscy usłyszą decyzję Wyroczni — zakrzyknął herold. — Winny zdrady, herezji i próby dezercji na stronę wroga. Ciało jest niewinne i zostanie oszczędzone, ale jest niezdolne do dźwigania wspomnień. Niech zostanie wygnane w dzicz. Wspaniałomyślna jest Wyrocznia.

Przytrzymywali go, ale Vru się nie szarpał. Był wiotki i spocony. Spojrzał na swoją pierś. Dziwnie było zobaczyć tam Rozkosznie Piękną. Znowu poczuł się jak dziecko.

Ciągle widział Przyjmującego Nowe takim, jakim go pozostawił – z odłupanymi Ghennungami. Czy zabił boga? Ale to był fałszywy bóg, potworność!

Medycy oderwali Ghennunga od jego skóry. Patrzył, jak ten skręca się i płonie. Wydaje z siebie dziwny, syczący dźwięk. Strach wypełnił mu trzewia niczym napełniany powietrzem balon. Oderwali kolejnego Ghennunga, tego należącego do jego dziadka. Jak wyglądała jego babka? Potrafił przypomnieć ją sobie tylko jako staruszkę. Smutno, jakże smutno. Za młodu musiała być piękna. Czyż często tak nie mawiał?

Zabrali kolejnego. Potrzebował boga, który by go kształtował, ale nie był w stanie myśleć o Rozkosznie Pięknej. Zdradził ją. Pomyślał o Przyjmującym Nowe, tym prawdziwym, odartej postaci sięgającej po nadzieję. o tak, pomyślał. Zabrali następnego Ghennunga. Czernienie i skręcanie się w ogniu. Vru, pomyślał. Mam na imię Vru. Sięgnęli po ostatniego Ghennunga. Przyjmujący Nowe, pomyślał, ciało z zielonego kamienia. Pamiętaj.

Bestia stała na dziedzińcu. Wiatr był chłodny, a las pachniał wiosną. Będzie na co polować. Przytrzymywali ją inni. Pachnieli jak jego klan, więc ich nie atakowała. Puścili ją.

Rozejrzała się. Był tam jeden paskudny starzec, który cuchnął i wyglądał na złego czy smutnego. Inni wymachiwali pazurami i krzyczeli. Zasyczała w odpowiedzi i zamachała własnymi. Było ich jednak zbyt wielu, by walczyć. Pobieгла.

Skierowała się w stronę pachnącego wiosną lasu. Będzie na co polować.

Z języka angielskiego przełożyła Magdalena Grajcar

Tekst ten został opublikowany na licencji Attribution-NonCommercial-NoDerivs 2.0 Generic, a przetłumaczony za zgodą autora w celu jednokrotnej publikacji w „Creatio Fantastica”. Można go kopiować i rozpowszechniać, jednak nie w celach komercyjnych. Oryginał znajduje się na <http://www.benjaminrosenbaum.com>